

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Nagłowic.

ROK 1846.

Poznań, dnia 13. Lipca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydany jest rycina mód paryżskich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Przez ogłoszenie drukowanego Sprawozdania donie-
sło Towarzystwo Domów Ochrony poznańskich o czyn-
nościach swoich w ciągu ostatniego roku do Śgo Jana
równie jak dawniej Towarzystwo Naukowej Pomocy.
Z tego wyczytujemy, że ubodzy rodzice bardzo skwa-
pliwie i coraz liczniej starali się oddawać dzieci, a na-
wet niektórzy bogatsi uznali ten instytut za dający po-
czątek dobremu wychowaniu i składając niewielkie
wynagrodzenie, poruczali Towarzystwu także swoje
dzieci. Do dwóch Domów Ochrony przybył trzeci,
którego urządzenie we własnym domu wzięła na swoją
porękę pani Działyńska. Dom ten stanowi zarazem
i szkołę na sposób wzajemnego uczenia. Towarzy-
stwo zatrzymało niejako swą dobroczynną opiekę dla
dziewczynek doroślejszych, które Dom Ochrony już
opuściły, a to w ten sposób, że na Rybakach urzą-
dziło szkołę szycia, w której codziennie po obiedzie
ochmistrzyni uzdatniona daje lekye.

Ubolewa Towarzystwo, że im bardziej w ludzie
obudza się chęć do korzystania z jego zakładu, tém
bardziej zmniejszają się fundusze. Nie biorąc nawet
okoliczności nadzwyczajnych w rachunek, zawsze się
to podobnie dzieje, bo nowość zakładu więcej ma po-
wabu, niż jego skuteczność, a przy wzrastającym co-
dziennie ubóstwie w całej Europie, wszelkie zakłady
dobroczynne coraz mniej dostatecznymi będą. Towa-
rzystwo to w ogóle nie polega na składkach stałych, bo
te zbyt mało czynią, ale na wpływach w miarę okoli-
czności obmyślanych, a w tym roku nie mogąc się
bardzo opierać na teatrach i koncertach amatorskich,
musiało się głównie uciekać do loteryi robotkowych
po rozmaitych domach prywatnych i nawet do zbiera-

nia w skarbonkę po kościołach w czasie postu. Były
to jednak w ogóle wpływy nie bardzo znaczne, gdyż
uczyniły niewiele więcej nad dziewięć tysięcy złotych
polskich. Z funduszu tego razem utrzymywano dzieci
czterysta, które, z małym wyjątkiem dzieci rodziców
bogatszych, dostawały jadło, a nawet biedniejsze o-
trzymywały i przyodziewek.

Opiekunów Towarzystwa podpisanych na Spra-
wozdaniu, którzy téż zarazem stanowią i cały poczet
jego Członków, naliczyliśmy trzydzieści dziewięciu, to
jest dwadzieścia trzy kobiet i szesnastu mężczyzn.

W ogóle całe Sprawozdanie pokazuje, że Towa-
rzystwo tylko w tym przypadku będzie mogło nadal
istnieć, jeżeli przestanie żywić dzieci. Chwalić mu
jednakowoż potrzeba, że robiąc prawie nad swoje
siły, dotychczas brało żywienie na swoje koszta, bo
tém najbardziej przynęciło do siebie lud, i obeznało
go szeroko ze skutkami swego wpływu. Żeby zaś
rodzice ubodzy mieli co w domu ugotować i przynieść
dzieciom do domu, to trzeba już będzie pozostawić
Ogólnemu Towarzystwu Dobroczynności, które na
wielki rozmiar, przed rokiem dla miasta Poznania zo-
stało założone.

Do Pana L. S.

1845.

Żądałeś pan odemnie opisu Poznania, w sposób
lekki — malowniczy, jednym słowem, chciałeś go
pan mieć ładnie zrobionym. Ale pan zapomniałeś, że

to rzecz niepodobna — że tego skutecznie nie mogę, bo brak mi talentu. Chciój pan przyjąć ten opis jak Chrystus grosz ubogiej wdowy, bo daję co mogę. Spal pan, a i tak dobrze, lecz pan przyznać musisz, że grzeczna dama.

Na miłą przed miastem wita nas Poznań swemi wieżami, z których kilka wystrzelił nad inne; aż bliżej a bliżej zdają się zniżać, nakoniec nikną z przed oczu, a natomiast ukazują się wały forteczne, które z trzech stron ścisnęły już miasto, wijąc się węzłem, nasadzone cytadelami, niby pierścieniami na jego zielonym grzbiecie. Miasto leży na płaszczyźnie, kilka tylko pagórków rozsianych tu i owdzie, sterczą małą wzniosłością. Ku stronie południowej płynie wąskim korytem ledwie szmerząca Warta, a jednak dość duże statki przemykają się po jej powierzchni, i śpichrze zbudowane nad jej brzegami pokazują, że jest główną arterią tutajszego handlu.

Otóż pierwsze kontury Poznania, a teraz do szczegółowych rysów. Przy tych ostatnich słowach ręka spoczęła na stole i czeka na rozkazy myśli. — Chwilkę szukałam po głowie od czego zacząć. Albo opowiem wrażenia dzisiejszej mojej przechadzki; zacznę tylko, a z tego wątku już się reszta dosnuje. I tak też zrobiłam. — Szósta uderzyła na zegarach w Poznaniu, kiedy z jedną towarzyszką puściliśmy się za miasto na berlińską szosę, uzbrojone w parasoliki przeciw słońcu, które nam zbyt zuchwale, bo całym ogniem sierpniowym, w oczy zaglądało. Ledwie biedne piechotnice uszłyśmy kilkadziesiąt kroków, kiedy otoczone kurzem wyjeżdżających i wracających ze spaceru pojazdów, byłyśmy zmuszone co spieszniej wracać. Szłyśmy przez cytadelę, na pół z tej strony ukończoną, zaglądając tu i owdzie. Zamyślane, wróciłyśmy do miasta z jasną nadzieją w sercu, jak to słońce, co się za nami schylało ku zachodowi, że jutro znów ziemi zejdzie świeże i promienne. Przeszedłszy część Berlińskiej ulicy, weszłyśmy na aleję z kasztanów i lip, które przeryniają nową część Poznania. Było to w Sobotę, i cały elegancki świat ludu izraelskiego wysypał się pod zielone sklepienie drzew, aby odetchnąć świeżym powietrzem po tygodniowym mozoleniu się w handlach. Kiedym była małą dziewczynką, niezmiernie lubiłam patrzeć na marynetki tańczące w drewnianej budce — pozostało mi to w późniejsze lata, bo i teraz z zajęciem patrzyłam na ten rój wystrojonych w liczbie może tysiąca. Każdy mężczyzna we fraku lub surducie ślicznego kroju, w świeżych rękawiczkach wiedzie pod rękę damy wystrojone, podług najświeższej mody, a w sukniach tak długich, że te poruszają piasek ścieżek i jakby chmurą

otaczają przechodzących. O! biada ludziom słabych oczu i piersi, jeżeli przynajmniej dzień przed takim marszem deszcz nie padał — muszą oni uchodzić z placu, bo daremna byłaby walka z tumanem! — nie wyszliby z niej tak zwycięsko jak się to Fanpowi udało, on miał jednego przeciwnika, a tu ich tysiące gotowych do boju!

Spostrzegliśmy teraz, że wszyscy wychodzą na przechadzkę za miasto, żeby więc oddychać bez kurzu, poszliśmy na przechadzkę do miasta.

Idziemy Nową ulicą, spojrzałam nad bramę dużego domu i przeczytałam Bazar. W Bazarze są sklepy obuwia, zegarków, mydła, książek, pachnidła, płótna, restauracya, oberża i t. d.; otóż to miała być kolonia na trzeci stan, bez którego nie ma być dla nas zbawienia na ziemi. Prawda, że ośmnasty wiek już w grobie, w którym stany chodziły pysznie ujęte pod boki, i myślały jedno, jakby zepchnąć drugie, a same stanąć wygodniej; i to prawda, że teraz liczymy wiek dziewiętnasty od narodzenia Chrystusa, w którym stany topnieją i zlewają się pod promieniem powszechnej miłości, że u nas był tylko obywatel i niewolnik, a stanu nie znano. Bazar jest to dom zwyczajny, bez żadnych ozdób, o trzech piętrach, z dwudziestu kilku oknami. Na pierwszym piętrze ma dużą salę — sala bazarowa ma znów swoje znaczenie, swoją duszę jak miasto w kraju. Tu się odbywają koncerty, których harmonia wpływa tylko do dusz sławiańskich. Na tej sali bywają także bale na cele dobroczynne, gdzie zwykle ze stu ludorów dziewiędziesiąt pięć idzie na wydatki wieczora, a reszta zostaje dla ubogich. Bywają tu także bale kasyna polskiego, na które z wielką ostrożnością przychodzą panie szlacheckiego rodu, bo wtedy tylko, jeżeli ich korpus liczby kilkudziesiąt dochodzi; inaczej jeżeli samopas kilka się zabłąka, przestraszone obcierają się po salonie, choć do prawdy nie strach tu tych tancerek tancerzy, bo lotnie i składnie jak zwykle młodzież polska wiją się w mazurkach i kontradansach. Kobietom też tylko myśl bazarowa stanów, silniej obsiadła w głowie, boć z nich cudzoziemczyzna przez francuskie guwernantki snadniej się zaszczepi, mężczyźni zaś tylko bardzo wynarodowieni lub z czaszkami z granitu z góry patrzą na towarzystwo tu zebrane. Raz posłuchałam na uboczu takiej rozmowy: „trudno jednak, żebym chodził na kasyno, kiedy tu jest mój krawiec i rymarz, od którego mam szory.“ — Drugi do którego to mówił, dowodził mu, że szyć frak i szory, lub trudnić się młóceniem i sprzedawaniem wełny, ani poniża, ani uszlachetnia człowieka. — „Ale ja się nie trudnię ani młócką, ani owcami, ja nie nie robię,“ odparł pierwszy, zadartł głowę do góry i pocią-

gając swoje białe rękawiczki, z dumą popatrzył w koło. Drugi chwilę z uśmiechem spoglądał na niego, a potem mówił: „pewnie się boisz, żeby się któremu z rzemieślników o tobie nie przypomniało, a nie przyszedł jutro po należące mu się pieniądze.“ — „Niechno przyjdzie bez świadka, zepchnę go ze schodów.“ — I przy tém ostatniém słowie podał rękę do figury pannie z pierwszego stanu, która się do niego mile uśmiechnęła, szczęśliwa, jak mi to sama mówiła, że przecież nie dostała się w tańcu żadnemu z miejskiej młodzieży, ale panu X. X. tak dobrze wychowanemu. Oto jest rys fizyonomi Bazaru, jaki zdołałam zrobić, cienie pan sobie sam dopełnisz.

Z Nowej ulicy przyszlśmy na rynek; jest to stara część miasta, zupełnie téż jęj oblicze inne niż téj, którą przeszły. Téj tam domy poczęści z płaskimi dachami, kilkapiętrowe, z ścianami jasnych kolorów, duże, a jednak w nich jakaś lekkość, tu i owdzie ozrywione to aleją drzew, to trawnikiem; a jeżeli spotykamy handel, to starannie, z pewną pretensją to wary w oknach poustawiane. Spojrzawszy w około, odgadujemy, że tu najwięcej mieszka z téj klasy społeczeństwa, co to zawsze ładnie ubrani, dla rozrywki wychodzą czasami na miasto, a potem zasiądą na miękkiej sofie w wygodnym i eleganckim pokoju, i znów nic nie robią. — Jedném słowem, mieszka tutaj częściej tych trutni społeczeństwa, co to najpiękniejszą miód spożywają, nic w zamian ludzkości nie oddając.

Wszedłszy na starą część miasta, łatwo poznamy co za klasa tu mieszka. Domy wysokie przyciśnięte do siebie, pod fundamenta zajęły tylko tyle ziemi, ile było koniecznem do pomieszczenia pierwszych mieszkańców, jednak dalej a dalej przemysłem rozszerzają tę małą przestrzeń pnąc się piętrami ku górze. Cały przepych domów ogranicza się na grubości i trwałości budowania, bo ściany ciemne, poszarzałe przez czas, jak odzienie ludzi, co to nie cenią świeżości i smaku w ubiorze, lecz wartość jego materii. Popatrzywszy się troszkę, któż nie dojrzy, że się tu zbiegło całe bogatsze kupiectwo miasta, a każda myśl wyteżona w jedną stronę, kołująca nad tém zagadnieniem: jakby to najwięcej pieniędzy ściągnąć do swego handlu, mniejsza o innych kupców, mniejsza o świat cały.

Nigdy tu nie brak życia handlowego, a cóż dopiero w czasie wełnianego jarmarku. Wszystkimi ulicami ściągają się liczne furmanki, bryczki kryte i otwarte, piechotą i konno, a każdy poprzęda lub jedzie za wozem wysoko naładowanym wełną. W kilku godzinach napełnia się Rynek i przyległe ulice, gdzie nigdzie stoi namiotik z różnobarwną chorągiewką, większość jednak koczuje ze swoją wełną pod

otwartém niebem. Tu się teraz rozpoczyna ruch i zgiełk, trudno jednak, żebym panu opisywała rozmaitość postaci, fizyonomii, rozmów, targów, byłoby to za długo, dość, że massa kupców z prowincyi, kilkunastu cudzoziemskich, meklerowie i faktorzy, — w paletotach, reitfrakach, z żółtymi rękawiczkami, osmolonemi rękami, i w wytartych siermięgach; wszystko się roi, biega, targuje, wśród rozmaitych figur szlacheckich i nieszlacheckich, jakimi cała Polska zasypiana, z małemi odcieniami. W trzy dni wszystko się kończy, wszystko z miasta wyjeżdża; przekupki znów w około stragany z owocem rozstawiają i już ich cały rok nikt nie porusza.

Na środku tego gwarliwego Rynku rozsiadł się ratusz pięknej gotyckiej architektury. Wysoką wieżą wystrzełił nad całe miasto, a na jęj szczycie zawisł srebrny orzeł, rozpostart szeroko skrzydła, jakby na przypomnienie, że zawsze gotów do lotu. Na obu dwu rogach frontu widać postacie odmalowanych sześciu królów polskich; nie wielki artysta je robił, kolory wypływały, rysy na pół zatarte, a jednak oko się tam rade zatrzyma na tych postawach silnych i odważnych.

Przy schodach wchodowych stoi pręgierz, jest to słup kamienny, a na nim kat z dobytym mieczem. Dawniej ścinano tu złoczyńców, jak to pokazuje napis na ścianach słupa, a teraz stawiają tu za krzywoprzysięstwo i baby leczące. Pamiętam jedną z takich lakarek stojącą pod pręgierzem. Rynek był napełniony ludem po większej części wiejskim, bo był dzień targowy, a ona biało ubrana stała na najwyższym stopniu słupa. Mała, chuda, pomarszczona, wargi z dumą ściśnięte, a z pod czarnych brwi oczy ciemne z jakąś łaskawością tłum przebiegały, bo téż wszędzie prawie spotykała społeczenie dla siebie. Ale kiedy spojrzała w stronę, gdzie stała policya i żandarmowie, wtedy jęj oczy iskry gniewu ciskały, czoło się w jeszcze głębsze karby marszczyło, szyję naprzód wygięła, słowa obelgi na usta wybiegły, w głosie jednak nie zabrzmiały, leżały tam tylko martwe, skamieniałe.

Po téj samej stronie ratusza przytuliły się małe kamieniczki jedna do drugiej, a przed każdą drewniana wystawka, nazwana śledziową budką. Tutaj to siedzą tłusciutkie, rumiane, zawsze czysto ubrane kobieciny, otoczone całym aparatem kuchennym, jak na obrazach flamandzkiej szkoły, a rozstawiane jarzyny i mięsa swoim zapachem zapraszają przechodzących. To prawdziwe restauracye proletaryuszów: zawsze tu obiad gotowy, od szóstej rano do dziesiątej w wieczór, tu się je nie dla tego, że godzina

obiadowa, ale że się chce jeść, i jest właśnie pare groszy na kupienie.

Poznań nie bogaty w zabytki sztuk pięknych, oprócz budynków jedyną rzeczą z przeszłości jest fontanna koło ratusza. Nie zatrzyma ona swoją pięknnością przechodnia, ale że to jest jedyny zabytek z dawniejszych wieków stojący na placu publicznym, więc o nim wspomnę. Zrobiona cała z piaskowego kamienia; w środku basynu stoi Pluton unoszący Prozerpinę. Inaczej jednak tę rzecz opowiadają przekupki, siedzące nad straganami. Opowiadają one: iż raz Tatarzy napadli Poznań i zabrali w jasyr wszystkie, co piękniejsze i młodsze panny, a między temi jedynaczkę bardzo bogatych kupców. Jój rodzice na pamiątkę wybudowali tę fontannę i otóż brodaty Tatar, co unosi pannę.

Z drugiej strony ratusza stoi także kamienna figura Śgo Jana Nepomucena. Przed kilkunastu jeszcze laty przez całą oktavę tego świętego zbierał się lud pobożny każdego wieczora i za ostatni może nieraz grosz przynosił świeczkę lub lampkę i zatykał ją koło figury. Pamiętam, kiedy często w wieczór wracała nas cała pensya ze spaceru i przechodziłyśmy koło modlących, jak blade światło lampek oświetlało ludzi z najuboższej klasy — nędzni, często bosi, spracowani, klęczeli na bruku. Głos ich rozlegał się daleko w pobożnej pieśni, wzrok wlepiony w świętego, a w wyrazie twarzy i postawie każdego, taki zachwyt nabożeństwa, taka wiara, że ten ich Patron wstawi się do Boga o ulgę ich niedoli, że moje młodzietkie serce silnie w piersiach biło, i że łzami rozrzewnienia w oczach wracałam do domu wśród innych wesoło gwarzących dziewcząt. Ach! cobym była dała, gdyby mi z niemi było wolno uklęknąć — pomodlić się. Lecz dalej a dalej, co raz mniej pobożnych zbierało się koło świętego, a teraz cała cześć kończy się na kilku zapalonych lampkach.

Koło téj samej figury w czasie tranzakcyi Śtojańskich gromadzi się także lud ubogi, nie z modlitwą na ustach, ale najczęściej z goryczą — z rozpaczą. Tutaj jest główny punkt, gdzie się zbierają służący przy dworach, szukający miejsca. Stoją oni jak niewolnicy na targach wschodnich i tutaj jak zwierzęta na jarmarku oglądają ich z miny, z postawy — targują — godzą — faktorowie wybierają i prowadzą do panów Bóg wie jakich! —

Z rynku znów my się zwróciły ku nowéj części miasta i podszedłszy dość spadziłą górę, weszłyśmy, żeby spocząć na dziedzińcu dawnego zamku, a teraz sądowego gmachu. Któżby dzisiaj, rozpa-

trując się tutaj, domyślił: że to szczątki tych murów, co w trzynastym wieku stanęły jako obronny zamek, a za nim dopiero zaczęło się budować miasto z téj tu strony Warty, tuląc się pod jego warownią, jak pisklęta pod skrzydła orla, że tu stąd obadwaj Przemysławowie wychodzili nie raz na czele rycerstwa, a ich zbroje skłniły się w słońcu stałą i miecze ciężkie dzwięczyły u boku, lub też wracali okryci kurzem wojennym. Tu Ludgarda znenawidzona żona Przemysława, ileż bolesnych chwil przeżyć musiała, gorzkich łez wylać — nim nakoniec jój ciało zsiniałe w trumnie złożyli. Wszak tu na tym dziedzińcu rżały konie przykryte żelazną zbroją, brzmiał róg wojenny i rozlegały się nieraz głosy uczującego rycerstwa. A dzisiaj, kiedy tam byłam, przerwał tylko ten spokój urzędnik przechodzący z paką papierów pod pachą. Z środkowego zamku i baszt zgrabne kamienice porobiono, a dziedziniec zieleni się wcale ładnym trawnikiem i krzewami. Od południowej strony tu i owdzie widać ostatki murów, niby kawałki zbroi, co niegdyś okrywały pierś silnego wojownika, a dziś się wala w piasku, aż ją lubownik starożytności podniesie i schowa do skarbcu pamiątek.

Nie rozległy i szczytny widok z tego poznańskiego zamku. Jak o krakowski uderzają modre fale Wisły, odbijając w swych nurtach malowne brzegi, tak tutaj u stóp góry ciągnie się ciasna ulica — a w miejsce karpatów piętrzących się i siniejących w oddali, które przebiegając okiem, pierś się rozszerza i wolniej oddycha; tu dachy domów, co zasłaniają resztę miasta. Bo krakowski zasiadł na opoce Wawelu, a najwyższe domy miasta jeszcze leżą u nóg jego. I teraz choć w odzieniu żebraka, nędzny i skaleczały jak Belizarusz, zdaje się, iż tam z dumą stoi, niechcąc się równać z drugimi. Ale później ten kwiat zniszczenia coraz gęstszym wieńcem go opasuje — on się chyli zwolna, rozpada w jego objęcia, a konający zdaje się jeszcze wołać gasnącym głosem: „ja tu panuję.“ Poznański zaś zamek od dawna budynki miejskie ścieśniły, wyrosły szczytem do jego wysokości i stały mu się równymi.

Już się też i ciemnić poczęło, kiedyśmy zeszły z góry, a pominawszy dom Ziemstwa Kredytowego, po tutajszemu Landszaftę, budynek nieodznacający się niczem, chyba wiecznym zapachem smoły, którą tam smarują przy nieustającej reperacyi dachu, wróciłyśmy do siebie.

Teraz poprowadzę dalej ten opis Poznania, jak mi myśl nasunie.

Teatr, jak niegdyś zamek, sam jeden stanął najpierw w nowéj części miasta, bo temu przeszło lat

czterdzieści. W stosunku do innych teatrów ubogi wewnątrz i zewnątrz, a choć na oko zda się za mały, widać jednak, że dla Poznania za wielki, bo rzadko zapelniony. Tylko w czasie tranzakcyi Sto-Jańskich żeby się pierwszy rząd łoż dał podwoić i potroić nawet, nie nazbytby było, bo nietylko ten rój kobiet przybyłych z okolicy karecianych, koczowych i pieszych, pragną tam zasiąść nie tak, żeby widzieć jak być widzianemi, co jest rzeczą bardzo prostą i naturalną; ale jeszcze nie mało tam miejsca zabierają młodzi mężczyźni, zapachem piżma, z bródkami przystrzyżonemi, z wielu, a czasem nawet tylko z kilku francuzkiemi frazesami na ustach, z żółtymi rękawiczkami na rękę i z ogromną lornetą. A zaś z pomiędzy nich, co już najbardziej chcą zaimponować, w czasie sztuki siedzą tyłem do sceny, lub przynajmniej starają się ziewać i niepatrzeć. Inni zaś mężczyźni, co niemają pretensyi błyszczeć tak ważnemi zaletami, zwykle chodzą na parter. W czasie lata przyjeżdża tu na kilka miesięcy, już od wielu lat jaka polska trupa. Stale jest niemiecka lichy grająca, ale téż i lichy płatna.

(Dokończenie nastąpi.)

O rozbójnikach w Peru.

Cały zamieszkały brzeg Peru, a najbardziej okolica Limy i Truxillo są wystawione na napady rozbójnicze. Rozbójnicy, jak wszyscy mieszkańcy, są rozmaitych bardzo różnorodnych pokoleń, i często tworzy się banda ze zbiegłych z niewoli murzynów, z ludzi białych pochodzenia europejskiego, z pośrednich pomiędzy tymi, to jest z mulatów, którzy wreszcie są jeszcze rozmaitych gatunków i nakoniec z pierwotnych krajowców czyli Indyanów. Rozbójnicy są zwykle jezdni i starają się o tak szybkie konie, iżby ich żadna kawaleria nie była w stanie doścignąć. Uczą swe konie niespokojności, aby w ciągu walki nigdy na miejscu nie dostały, bo ich celem nie tak jest zwalczyć przeciwnika, jak mu się obronić i nie dać schwytać. Zdarzają się niewolnicy, którzy pokończywszy swe roboty w Sobotę, porywają pańskie konie z plantaży i przez Niedzielę prowadzą na nich rzemiosło rozbójnicze.

Największa atoli część rozbójników należy do band systematycznie pozawiezywanych, pod naczelnikami przebiegłymi i surowymi, co utrzymują po

miastach szpiegów, od których regularnie odbierają raporta i których do miast wysyłają. — Często w 30 do 40 koni zbliżają się nawet pod największe miasta i odzierają każdego, kto im się tylko na drodze nadwinie. Zwykle robią wyprawy tylko w kilku lub kilkunastu. Ich broń składa się z krótkich sztucerków a wielkich szabel; w małych zaś sakiewkach wożą przed sobą amunicją, z jednej strony proch, a z drugiej kule. Często względem ludzi napadniętych występują z grzecznością i zabierają im tylko pieniądze, zegarki, pierścionki; zwykle zabierają także i konia; niekiedy odartych nabijają się płazem i kolbami. Opiera im się kto, natenczas go żywo nie puszczają; dla tego roztropniej jest pozwolić im się złupić ze wszystkiego; mając nawet obok siebie mieszkańców kraju taką liczbę jak rozbójników, bo na skuteczną pomoc liczyć nie można. Kiedy się zabije rozbójnika, to nie dosyć wydobyć się bandzie z ręki, bo potem następuje zemsta, i można w środku głównego miasta Limy zginąć jeszcze od pugału. Rozbójnicy bardziej się boją broni siecznej aniżeli palnej, a nadewszystko lękają się lancy. Cudzoziemców lubią oni bardziej napadać niż krajowców, a zwłaszcza mających znaczenie; czynią to oczywiście z polityki, aby całemi siłami na ich wytępienie nie nastawano. Najniebezpieczniejsze drogi są do Callao, Chorillos, Cavalleros i do Cerro Pasco; na nich ciągle są zasadzki na przesyłki pieniężne. Szyny srebrne z Pasco do Limy przewożone bywają bez zastłony wojskowej, bo są za ciężkie i niełatwe do przechowania. Nie dosyć że rozbójnicy przed bramami miast łupią podróżnych, ale z łupem jakby wojsko, śmiało do miast wjeżdżają. Także zaganiacze osłów, którzy mają zwykle przy sobie wiele pieniędzy na zakupowanie towarów, są w ciągłym niebezpieczeństwie od rozbójników. Nie znajdują rozbójnicy nic przy nich, to ich częstokroć biją i mordują w najsroższy sposób.

Już to się nie raz zdarzyło, że bandy rozbójnicze wśród dnia wjechały do Limy, aby pootwierać więzienia i porozkuwać z kajdan swoich bohaterów. Zdarza się częstokroć, że rozbójnik odebrawszy łup właścicielowi, tylko go dla igraszki oslepią lub zabiją. Ale téż i rozbójnika trupem położył u drugich ludzi tyle tylko znaczy, co pajaka rozdepnąć. Raz w bliskiej odległości rozbójnik wymierzył fuzję na Indyanina i kazał mu w miejscu się zatrzymać; Indyanin stanął, ale dobył wielkiego pistoletu, wymierzył do przeciwnika i rzekł: podziękuj Panu Bogu że nie nabity, boby już było po tobie. Przypadł

zwawo rozbójnik, schwycił Indyanina i chciał go mordować, ale ten wypaliwszy mu w łeb, zabił go na miejscu i dowiódł, że tylko żartował kiedy mówił, że jego pistolet nie nabity.

Młodzi murzyni formalnie uczą się i zaprawiają na małych rabunkach do większych napaści, lubo też niekiedy rzucają się i na bardzo wielkie; używają śmigownic z wielkim otworem i strzelają z nich siekańcami ołowianemi i żelaznemi. Nieraz idąc z miną bardzo skromną, niosą to mordercze narzędzie pod płaszczem ukryte. Pięciu Anglików i dwóch Niemców wracało raz w Niedzielę z polowania do Alamedy, a niechcąc do miasta wchodzić z nabitemi dubeltówkami, wystrzelili je dosyć jeszcze daleko od pierwszych domów. Ledwie to zrobili, kiedy stanęło przed nimi dwóch nie wielkich młodych murzynków, i żądali wydania dubeltówek. Jeden swą śmigownicę ze szeroką paszczą miał ku nim wymierzoną, a drugi wołał o składanie broni. Nie było co robić, bo wszelki opór byłby dał powód wypaleniu, a od jednego strzału mógłby i każdy ze siedmiu dobrze oberwać.

Kiedy policja lub wojsko napędzi rozbójników w jaki kąt, to wtedy walczą z niestychaną odwagą. Po większej części krzaki stanowią dla nich miejsca najobronniejsze. Częstokroć kiedy zarośł nie wielka, dla wykurzenia rozbójników podkłada się ogień pod krzaki, i który rozbójnik nie chce zginąć od kul, ten musi zginąć od ognia.

Najślawniejsi w ostatnich latach hersztowie rozbójników byli murzyni Escobar i Leon. Ten ostatni zaczął swój zawód od tego, że jeszcze jako niewolnik zamordował swego pana; uciekł i tłukł się po całej prowincji limańskiej, popełniając różne morderstwa. Policja ścigała go ciągle nadaremnie; Leon znał dokładnie miejscowość, tak, iż się prawie z rąk pachołków wydobyć umiał. Kiedy już 2000 piastrow nagrody na jego głowę wyznaczono, jeszcze prawie na każdą noc przychodził śmiało do Limy. Dopiero policja ogłosiła, że ten ze współników Leona, który go zabije, nie tylko będzie wolnym od kary za wszelkie przestępstwa, ale odbierze tysiąc piastrow nagrody; znalazł się dopiero jego przyjaciel, który go przez uduszenie w nocy na drugi świat wyprawił. W miesiącu Lipcu r. 1842. przez dwa dni leżały zwłoki Leona przed kościołem katedralnym w Limie, wystawione na widok publiczny.

Weześniejszy sławny bandyta nazywał się Jose Rayo, był on z klasy mulatów Zambo, która najmniej ma cywilizacji, jest sroga, dzika, przymiotami do wściekłego zwierzęcia podobna, a stąd też do rozbo-

jów najskłonniejsza. Rayo jako partyzant zasłużył się bardzo dobrze prezydentowi, z tego powodu zyskał tytuł podpułkownika i został zamianowany komendantem policji jezdnej. Od tego czasu działa jako gorliwy urzędnik. Jest on niezmiernie pożyteczny, bo zna wszystkie kryjówki w całej okolicy limańskiej doskonale. Tylko herszt Leon zawsze mu się z ręki wymknął, a to podobno dla tego, że Rayo złapać go nie chciał, bo był jego komotrem, a komoterstwo w Limie i całym Peru ma takie poszanowanie, jakie miało i w całej Europie za owych dobrych, a także bardzo rozbójniczych wieków średnich. Ile razy Rayo schwytą zbójcę, to mu zawsze przyrzecze darować życie, jeżeli tylko pokaże, gdzie ma łup zakopany; stanie się jego żądaniu zadosyć, to weźmie pieniądze, każe dół wykopać, zbójcę zastrzelić i przysypać.

Kiedy Rayo mówi o prezydencie i ministrach, to ich zawsze zowie swemi najlepszymi przyjaciółmi. Jest wreszcie zręczny, niezmiernie grzeczny, uprzejmy i bardzo usługny, tak, iż nie można powiedzieć, aby mu brakło któregośkolwiek talentu dobrego naczelnika policji.

Pochwytani i przywiezieni do Limy zbójcy, po krótkim słuchaniu bywają zwykle na śmierć wyrokowani. Z kaplicy, w której przez dwanaście godzin przed śmiercią z księdzem pozostawać muszą, zostają przez mały oddział wojska na plac wyprowadzani; każdy musi nieść sobie ławeczkę, na której siada do egzekucji. Wolno mu wyznaczyć miejsce, w którym ma być rozstrzelany. Pospolicie zupełnie spokojnie siadają na ławeczce. Czterech żołnierzy przystępuje na trzy kroki, i dwóch celuje do głowy a dwóch w piersi. Przypadek wielkiej przytomności umysłu, który się nie często zdarzyć może, zaszedł przed kilku laty w Limie. Jeden odważny Zambo został za rozboje na śmierć skazany; żądał, aby go rozstrzelano na placu inkwizycyjnym podczas targu. Spieszenie i ze wzrokiem pewnego znaczenia obejrzał się po targu, a potem usiadł na śmiertelnej ławeczce; żołnierze wymierzili i strzelili. Kiedy już dym po strzałach się rozszedł, niebyło delikwenta, i oczywiście zniknął. Był tak szycki, że przy trzaśnięciu zamków niż strzały padły, potrafił uskoczyć, a przyjaciele na targu ułatwili mu dalszą ucieczkę.

Podczas wojny tworzy się z rozbójników wojsko Montoneros. Wtedy łączą się z nimi częstokroć i ludzie uczciwi. Montoneros są dobrą nieregularną jazdą, prowadzą wojny partyzanckie, i kto umie ich sobie zjednać, ten się wydostaje na prezydenta. Żyją podczas wojny z łupu, nie są waleczni, ale ciągle niepokoją nieprzyjaciela. Nie mają oni, jak się

snadno domyślić, uniformów, ale każdy ubiera się jak może. Po większej części mają białe zbrudzone spodnie, podobne kurtki, płaszcze i wielkie słomiane kapelusze. Wielu nie ma bótów ani trzewików, ale przypinają ostrogi na bosc pięty. Ich bronią karabinek i szabla. Skoro Montonerowie utworzą znaczny oddział, wtenczas jeden z generałów stawia na ich czele Dowódcę ich ma w rękę prawo życia i śmierci.

ROZMAITOŚCI.

Londyn.

— Skrzypek Livori, który dawał koncerty po rozmaitych miastach niemieckich, odznacza się teraz bardzo w różnych koncertach dawanych w Londynie. Parish Alvars występował niedawno z harfą w jednej sali przepełnionej słuchaczami; odgrywał fantazję przez siebie skomponowaną i miał niesłychane odnieść oklaski. Niejaki pan Wilson urzęduje raz po raz muzykalne zgromadzenia, na których odgrywane bywają po większej części melodye narodowe angielskie. Autorowie Shirley Brooks, Stoqueler i Charles Kenney ułożyli na wspólną bardzo komiczną sztukę teatralną, pod tytułem Robin Hood i Coeur de Lion; bywa ona często dawana, a jest dziwną mieszaniną z różnych źródeł, w której głównie ballady Waltera Scotta, Ivanhoe, Burna Crusades są zamieszczone; do tego przychodzi wiele pytań czasowych i dążności, oraz znanych przytoczeń z gazet i dzienników, które zastosowane we właściwych miejscach, bardzo komicznie się przedstawiają. Cała ta pstrokaczna podoba się bez zaprzeczenia wszystkim, chyba to może stanowić jej wadę, że dowcipkowaniu i przycinkom żadnych granic nie kładzie.

— Podczas ostatnich wieczorów w Paryżu u ministra spraw zagranicznych, było wiele dam z rodziny ministrów zagranicznych, kiedy wprowadzono Ibrahima Baszę. Jego egipska wysokość, przejrzał oczami szereg dam z uśmiechem, ale wreszcie postrzegłszy panią X., rozczzerwieniał się i obrócił z pewnym pomieszczeniem. Również i pani X. w obecności Ibrahima Baszy zdawała się być zbitą z terminu. Jako powód tego zdarzenia podają następujące wypadki:

Krótko przed utarczką pod Homs, która poprzedziła bitwę pod Konieh i podczas układów, które prowadzone pomiędzy Mehmedem Ali a Husseinem-Baszą zamienili się w ugodę, sułtan Mahmud ułożył bardzo

haniebny plan, którego ofiarą mało nie padł Ibrahim-Basza. W haremie sułtana znajdowała się dziewczynka z rodu greckiego, znakomitych rodziców i bardzo piękna. Sułtan pod pozorem, że się gorliwie stara o jej los, powiedział jej, że ją myśli dać za żonę Ibrahimowi Baszy, który wtedy stał w Syrii i usiłował malować jej żywymi kolorami szczęście i sławę, gdyby jej się udało jego serce pozyskać. Na dopięcie tego celu, dodał, masz oto talisman. Przy tych słowach wsadził jej ów talisman, to jest: pierścienek na palec. Wiadomo bowiem, że w Turczach popospolicie panuje wiara, że serca dają się talismanowi do miłości nakłaniać. Umięć tylko korzystać z pory dodał jeszcze i jak Ibrahim będzie spał, zanurz ten pierścień w napoju, a potem zrób, żeby się napił, a wtedy już będziesz mogła swego szczęścia być zupełnie pewną. To niewinne dziewczę pojechało podług swego przeznaczenia, a z innymi podarunkami spotkało Ibrahima-Baszę w Allepie. Nadzwyczajna chojność sułtana obudziła podejrzenie: Ibrahim nie chciał przyjąć dziewczęcia i odesłał je do Sidi-Agi, namiestnika w Alexandrii. Zawsze wierząc w niezawodność swego talismanu młoda Greczynka, tak doprawiła napój dla swego pana, jak go doprawić miała dla Ibrahima-Baszy, a po wypiciu napoju ten się okazał skutek, że Sidi-Aga z wielkimi boleściami wyzionął ducha. Oskarżona o otrucie Greczynka, opowiedziała przed sądem co zrobiła i jak ją był sułtan nauczył. Pierścienek był wprawdzie nienaruszony, ale mały kamyczek oczywiście rozpułnął się w wodzie i on to był trucizną. Ibrahim dowiedziawszy się o wszystkim, wziął w swą opiekę niewinną dziewczynę i odesłał ją do rodziny. Nie widzieli się od tego czasu aż dopiero w Paryżu na wieczorze u Guizota.

— W Odeonie teatrze paryskim wystąpiła panna Aralie, która w trajedii ma wyrównywać sławną Rachel.

— W południowej Ameryce wielki robi chałas kował Elihu Burrit; ma on wkrótce przyjechać do Europy: urodził się roku 1811. w Connecticut z ubogich ale uczciwych rodziców, i do ukończenia 16. roku życia odwiedzał tylko szkołę niedzielną. Wtedy umarł jego ojciec, co go spowodowało, że poszedł w naukę kowalstwa. Biblia była pierwszą książką, którą w całości przeczytał i do słowa spamiętał. Mając lat 21 czytał klasycznych pisarzy angielskich. Przez następną zimę uczył się u swego szwagra matematyki, a potem nauczył się po łacinie, po francusku, po grecku i po niemiecku. Ponieważ niezmiernie mu łatwo szło z innymi zwy-

kłemi językami, przeto przeszedł do trudniejszych, jak galilejskiego, starosaxońskiego, islandskiego, ormiańskiego, chaldejskiego, syryjskiego, arabskiego, sanskryckiego. Już roku 1838. powiedział publicznie gubernator Everet, że Burrit mówi 50 językami. Obok tego trudni on się ciągle kowalstwem i to przez 8 godzin, drugie 8 godzin poświęca literaturze a trzecie spoczynkowi. Píše on wiele artykułów do pism peryodycznych, a zdarza się, że niejeden jego artykuł trzysta gazet amerykańskich powtarza.

— Młody Bułgar Iwancio Budreow Bogojew, który jest znany ze swych literackich usiłowań, a mianowicie jako autor krótkiej jeografii, jako wydawca małego zbioru pieśni i przysłów ludu bułgarskiego, ma zamiar wydawać pismo czasowe: Błgarski Orel (Bułgarski orzeł). Jest rzeczą pewną, że wydawca ma do tego należyte usposobienie, nie można powątpiewać, że pismo będzie pożyteczne, ma też i rząd turecki tyle cywilizacji, że piśmiennictwu czasowemu bułgarskiemu tamy nie kładzie, konsensów nie odmawia i nie utrudza, ale zachodzi pytanie, czyli się znajdzie dostatek prenumeratorów na utrzymanie pisma. Atoli zważając, że Bułgarowie zamieszkują pas tak znacznej długości nad Dunajem, w którym miasta i wsie niemiapełnione, że rozpiechle znajdują się niemal po wszystkich miastach Turcji europejskiej, Multan, Wołoszczyzny, a sięgają aż do południowej Rosyi: są więc w stanie pismo utrzymać, lecz chodzi zawsze o to, aby pomiędzy nimi tak się spieszenie rozpowszechniło, iżby wydawca miał fundusz na wydatki, nim mu obfite przychody wpływać zaczną.

— Skwar panuje w Paryżu tak wielki jak w puszczach afrykańskich. Cała ludność w południe toczy się jak gdyby popadła w bezwładność z choroby. Po bulwarach pełno się rozciga ludzi na wzór lazaroniów wypoczywających sobie na Chiaja w Neapolu; ale skoro tylko słońce chyli się ku zachodowi, wszystko się sypie do cyrku na konne sztuki i do hipodromu przypatrywać się wyścigom. Wyścigi odbywają się na wozach olimpijskich, w których pojeżdżają kobiety; jedna bardzo ulubiona od publiczności wyrwała się niedawno, przyczem koń się zabił, a ona otrzymała ciężką ranę. Krzyki z przestachu wzbily się pod niebiosami, ale nazajutrz ciżba na widowisku była jeszcze większa, aby się przypatrzeć pięknościom występujących artystek.

— Lekarz używający kuracji wodnej, który został zapozwany przed assisów, że miał się przyczynić do śmierci jednego ze swoich pacjentów, uznany został

za niewinnego, ponieważ się okazało że śledztwa, iż sam pacjent był sobie winien.

M O D Y.

Paryż, dnia 8. Lipca 1846.

Toalety odznaczają się niesłychaną lekkością i przezroczystością i gdyby dało się coś jeszcze bardziej delikatnego wymyślić jak tarlatan, orgondi i gaza, z pewnością byłoby najbardziej używane.

Co się tyczy trefienia włosów panuje zasada, żeby je nosić jako tako, w najprostszy sposób, a nie wdawać się w żadne loki i zwoje, bo to wszystko od wpływu ciepła targa się i rozrywa bardzo snadno.

Kapelusze à la Clarisse Harlowe, są na wsi i u wód bardzo ulubione, gdyż przez swój kształt twarz i szyję doskonale zakrywają. Bywają one z włoskiej słomy.

Suknie wierzchnie, które się u wód noszą, są z niebielonego batystu, z indyjskiego fulardu, z kitajki w lekkich kolorach, z angielskiego Bazinu i z muslinu jedwabnego. Widać także wiele sukien wierzchnich na sukniach spodnich koloru lila, różowych, słomowych albo błękitu Nemours. Rękawy sukien wierzchnich są szerokie, a u dołu przy zapięciu, które koronkami garnirowane, na fałdki ściągnięte. Mantylla muslinowa z téjże materii albo z koronek, dodaje okazałości, a przy tém lekkości temu ubiorowi.

Co kobiety za zbytki wyrabiają ze swemi strojami, to mieliśmy tego świeży przykład. Jedna młoda mężatka, która wyjeżdżała do Baden-Baden, kazała sobie u jednej tylko modniarki zrobić trzydzieści nowych sukien, utrzymując, że się jak najściślej tylko na to ogranicza, bez czego się żadną miarą obejść nie może.

Objaśnienie ryciny.

1. Ubiór dziecka.
2. Kapelusz krepowy z piórami; suknia z jedwabnego muslinu franzlami garnirowana, szal muslinowy.
3. Frak z sukna kwadrowanego, długa kamizelka, krawat w kolorze czerwonym i czarnym, pantalony także kwadrowane.